



BIBLIOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH

Nr. 72.

UROKI

komedya w jednym akcie

przez

NAGODE.

Mnorowicka Trema

INSTITUT
BADAN I TEATRÓW AMATORSKICH PAN

Biblioteka

ul. ... Nr 72

00-... w ...

Tel. 26-58 63, 26-52-31 w. 42

L W Ó W.

Nakładem księgarni H. ALTENBERGA

1895.

<http://rcin.org.pl>

Anna Mrozowska.



2327

Z drukarni W. A. Szykowskiego — ul. Kopernika 1. 5.

U R O K I

k o m e d y a w j e d n y m a k c i e

przez NAGODE.

OSOBY:

P. Jański,
Wandzia, jego córka.
Tala, siostrzenica.
Seweryn, młody sąsiad.

Dr. Henryk.
Dr. Lenkiewicz, fizyk powiatowy.
Teofila, stara klucznica.

Rzecz dzieje się na wsi w domu pana Jańskiego.

SCENA I.

Scena przedstawia elegancki wiejski salon, na prawo drzwi do ogrodu, przy jednym oknie siedzi Tala i maluje wachlarz wśród rozłożonych farb i pędzli; przy drugim Wandzia w różowej sukni haftuje na krosnach.

Tala. Ach, żeby dziś kto przyjechał!

Wandzia. Ależ przyjedzie, Dr. Henryk. Słyszałam właśnie jak tatko po niego konie na kolej wysyłał.

Tala (pogardliwie). O ten... mógłby sobie darować.

Wandzia. Nie lubisz go? a przecież on od czasu jak tu bawisz daleko częściej przyjeżdża — on nawet bardzo często teraz bywa.

Tala (ironicznie). Może się w tobie zakochał.

Wandzia (żywo). Dlaczego to mówisz, kiedy wiesz dobrze, że tak nie jest, że nawet nie może być.

Tala. A to z jakiego powodu?

Wandzia. Bo nie — bo jak jesteśmy obie razem, to każdy przecież ciebie woli.

Tala. O, dziękuję za dobrą opinię. (słychać turkot, panienki obie wychylają się przez okno).

Tala. Ktoś zjechał — ach, to pan Zrebski.

Wandzia (zrywając się). Pan Seweryn! (Krosna i włóczki upadają jej na ziemię, ona nie widzi tego, stoi zamyślona).

Tala (do siebie tryumfująco). Drugi raz w tym tygodniu, — no pro-

szę, co za łaska! Kiedy tak, to Henrykowi dam dzisiaj od 1 kosza.

SCENA II.

Wandzia, Tala, Seweryn.

Seweryn (wchodząc). Moje uszanowanie paniom!

Wandzia (biegnie do niego z pasmem włóczki różowej na ręku.) Dzień dobry panu!

Seweryn (wita się potem zdejmując z jej ręki włóczkę). Panna Wanda dziś znowu różową włóczką haftuje? powiadam, że pani wszystko widzi w różowych kolorach.

Wandzia. O bardzo przepraszam, ja mam tylko to jedno, jedyne różowe pasemko; niech pan nie psuje bo szkoda. (próbując odebrać mu włóczkę).

Seweryn (nie oddając jej). Otóż właśnie ja panią na tem pasemku poprowadzę przed zwierciadło i niech się pani przekona, czy pani sama nie wygląda na uosobienie różowego koloru. (*Wandzia* trzyma za jeden koniec włóczki, *Seweryn* za drugi, w ten sposób śmiejąc się przechodzą do zwierciadła; *Wandzia* patrzy w nie chwilę, potem na *Seweryna*, wreszcie zmięszana odwraca głowę).

Wandzia. A pan, w jakim się dzisiaj zbudził kolorze?

Seweryn (tragicznie). W czarnym.

Wandzia (ze współluczniciem). W czarnym? a to dlaczego?

Seweryn (zbliżając się z ukłonem do *Tali*). Bo się panna *Tala* dotąd nie raczyła ze mną przywitać. (*Wandzia* odstępkuje do swego okna.)

Tala (podnosząc głowę z nad roboty, z udaniem zdziwieniem). A, to pan?!

Seweryn (podobnie). To pani?... (kiwa głową). I wartoz to mi było wyrosć pięć stóp i dwanaście cali wysokości, żeby mnie pani nawet nie spostrzegła wchodzącego do salonu.

Tala. Przepraszam pana, byłam tak zamyślona...

Seweryn (wesóło). Czy może o mnie?

Tala. O panu. Myślałam właśnie jak się też panu spodoba ten wachlarz?

Seweryn (nie patrząc). Śliczny, cudowny, jak wszystko co wyjdzie z pod rączek pani.

Tala. I nic mu pan nie ma do zarzucenia?

Seweryn (z entuzjazmem). Nic a nic! (spogląda uważniej na wachlarz) To jest... zaraz... cóż tu pani właściwie namalowała? — jakto, ręka trzymająca koszyczek? ach fe! cóż za barbarzyński motyw! aż mną dreszcz wstrząsnął.

Tala (zalotnie). A więc go schowamy, ażeby pan nie dostał febry. Zaraz pędzle poskładam. (podając *Sewerynowi* wachlarz). Proszę chwilę potrzymać.

Seweryn. Co? ten wachlarz? za nic w świecie się go nie dotknę. (chowa ręce za siebie)

Tala. Jaki pan niegrzeczny! żeby też artystce okazywać taki wstręt do jej dzieła.

Seweryn (lekko). To niech artystka maluje amorki, a nie koszyczki, to będę trzymał choćby do skończenia świata.

Wandzia (która przez cały czas przysłuchiwała się ich rozmowie z niepokojem). Pani! *Sewerynie!*

Seweryn. Zaraz pani służę. (zamyka pudełko z farbami i stawia

na stole — zbiżając się do Wandzi.) Co pani rozkaże ?

Wandzia (po chwili, z dąsem) Nic już — chciałam żeby mi pan pomógł włóczyć pozbierać, ale teraz, już nie trza.

Seweryn (patrząc na nią z uśmiechem). Ej, panno Wando!

Wandzia. Dlaczego pan tak na mnie patrzy? czemu pan mówi: ej, panno Wando.

Seweryn. Bo ja coś po gryzwce pani poznałem.

Wandzia (ciekawie). Cóż takiego?

Seweryn. Poznałem, że pani ma ochotę dzisiaj troszkę... kaprysić.

Wandzia (z zajęciem). I jakże to po gryzwce można poznać?

Seweryn. Oho, ja mam taką książkę z której się nauczyłem wszystko poznawać po gryzwce i po oczach i po uśmiechu...

Wandzia (zdziwiona). Naprawdę!

Tala (występując naprzód z zalotnym uśmiechem). A z mojej grywki, czy pan także coś wyczyta?

Seweryn. Z grywki pani wyczytałem... że się pani będzie dzisiaj bardzo cieszyć przyjazdem miłego gościa ze Lwowa.

Tala (niezadowolona). O proszę mi nie wspominać o tym gościu, bo się zaraz klócić zaczniemy.

Seweryn. Ja z panią? niech Bóg broni! ja się dzisiaj za nic klócić nie będę (do siebie) bo się tak już z moją ciotką wyklóciłem, że mam dosyć choć na trzy miesiące. To Herod nie ciotka, onaby chciała, żebym nigdy w życiu żadnego wekslu nie podpisał, ani swojego, ani cudzego; słyszał to kto?

Tala. Szkoda że pan przyjechał w tak zgodnem usposobieniu; ja

właśnie miałam dziś ochotę posprzezczać się z panem.

Seweryn Panno Talu, to już innym razem — niech mi pani dzisiaj daruje kilka godzin spoczynku. Już będę taki grzeczny, posłuszny każdemu skinieniu.

Tala (wyciągając rękę). Słowo?

Seweryn. Uroczyste!

Tala. A więc na takich warunkach pokój zawarty; a teraz idźmy grać w lawn-tennisa.

Seweryn. W tej chwili? litości! teraz tak gorąco.

Tala. Nic nie szkodzi, w cieniu będzie nam chłodno — gdy się zmęczymy, wrócimy tu na herbatę.

Seweryn. Ależ, ja się jeszcze nie przywitałem z p. Jańskim.

Tala. O, wujcio jest na radzie powiatowej, wróci aż wieczorem... Służę panu. (Idzie ku drzwiom, *Seweryn* postępuje za nią deklamując):

Kobieto, puchu marny, ty wietrzna
[istoto,
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A jesteś gorszą... (wychodzi wraz z Talą).

SCENA III.

Wandzia sama, później *Teofila*.

Wandzia (patrzy za odchodzącymi). Poszli. ani się obejrżeli za mną — prawda, że ja tak źle gram w lawn-tennisa — oh ja nieszczęśliwa! (wybucha płaczem).

Teofila (wchodząc). Panno Wandziu, co dziś damy na kolację, bo to goście... (spozstrzega płaczącą Wandzię). A to co? moja panienska, płacze? Chryste miłosierny! czy tylko nie chora?

Wandzia (przez łzy). Nic mi nie jest Teofilo.. a na kolację, to niech już będą... kurczęta.

Teofila. Ale czemu panna Wandzia płacze? Boże Święty! oczów szkoda — takie śliczne oczka.

Wandzia (płacze). Co mi po nich, kiedy mi tak smutno, tak okropnie, tak mi ciężko, że to strach!

Teofila. Święci anieli, co też to mogą być za smutki u mojej Wanduni? proszę też już nie płakać — smutek przeminie.

Wandzia (z przekonaniem.) Nigdy.

Teofila (pocieszając). Ale przeminie — za kilka dni ani śladu z niego nie będzie. (z przymilem). A możeby Wanduni kabałę położyć, tobyśmy się dowiedziały, jak się to wszystko obróci.

Wandzia (uspokajając się). Połóż Teofilciu, jeżeli myślisz że to będzie prawda...

Teofila. A ma się rozumieć, święta prawda! przecieżbym panny Wandzi nie oszukiwała.. (wyjmuje karty i zaczyna kłaść kabałę; Wandzia oparta rękami o stół przypatrzuje się ciekawie).

Teofila (kładąc karty). Dla pani, dla domu, dla szczęścia, czego pani nie wie, co być musi... Dla pani, dla domu, dla szczęścia... (przerywa nagle). Panno Wandziu, jak mamę kocham as kier!

Wandzia (niespokojnie.) A to dobrze?

Teofila. Spodziewam się! to najładniejsza karta... Pamiętam bywało w młodości kiedy się we mnie gorzelnik z Hrehorowa kochał, to jakem sobie położyła kabałę, nic ino ciągle ten as kier koło mnie stawał — a to było proszę panny

Wandzi dla mnie wielkie szczęście; bo to kawaler stateczny, śliczny brunet?...

Wandzia (z wybuchem). Brunet?!

Teofila. Nieinaczej — a jakie miał piękne utrzymanie! bo to i pensya, i ordynarya — co niedziela w czarnym surducie po kolana chodził..

Wandzia (z zajęciem). I ożenił się z tobą?

Teofila. Nie ożenił się, ale było już bardzo blisko koło tego. I byłby się pewnie ożenił, gdyby nie to, że mi w kabale raz wraz wypadła jakaś nieżyczliwa kobieta — no i naturalnie jak zaczęła biegać do niego z językiem, tak i sama się wydała; tembardziej że miała trzysta reńskich na wyprawę.

Wandzia. Kładź dalej Teofilciu — może i mnie wypadnie jaki brunet, ale już naprawdę.

Teofila. Zaraz, zaraz, (kładzie kabałę). Czego pani nie wie, co być musi. — Akurat być musi brunet, i żeby panna Wandzia nie wiedzieć co robiła, to taki będzie brunet, bo walet pik stanął na boku i już nikogo nie dopuści. Będzie Wandunia miała bruneta, bo moja kabała nigdy nie zawodzi

Wandzia (z wymówką). A widzisz, a wczoraj mówiłaś, że mi się blondyn znaczy, i ja się tak zmartwiłam że aż spać nie mogłam, a nad ranem to mi się przyśnił jakiś blondyn, z takimi wąsami od ściany do ściany Brr!

Teofila (niezadowolona). E, bo wczoraj przy czwartku to nie była taka prawdziwa kabała, a zresztą ja pannie Wandzie coś powiem: to będzie taki „blondynowaty“ brunet.

Wandzia (z dąsem). Dziękuję, ja nie chcę, żeby był blondynowaty; ja chcę żeby był prawdziwy brunet z czarnemi oczami. — No kładź jeszcze Teofilciu, może się czego dowiemy.

Teofila (kładąc karty). Jakis mężczyzna bardzo o pannie Wandzi życzliwie myśli.

Wandzia (żywo). Który?

Teofila. Nie wiem, tylko tyle że jest teraz w domu.

Wandzia. W tej chwili nie ma tu nikogo tylko... (z pomieszaniem) pan Seweryn

Teofila. A to pewnie on będzie, bo ma być śliczny i bogaty. Przytem nie daremnie on tu tak raz wraz zajeżdża, do nikogo przecież tylko do panny Wandzi.

Wandzia (smutnie). A kiedy nie do mnie Teofilciu, ja wiem dobrze, że nie.

Teofila (niedowierzająco). Ale!... a nie przywiózł to pannie Wandzi bukietu na urodziny.

Wandzia. Ej, to już tak dawno! dawniej to wiem, żem go troszkę obchodziła, ale teraz od czasu jak tu Tala bawi, to już nie a nic. Ona i maluje i śpiewa, i konno jeździ i w lawn-tennisa gra, a ja nic nie umiem, i gdy oni ze sobą rozmawiają o tem wszystkim, to mi się tylko płakać chce.

Teofila. Jest czego płakać, że ktoś konno jeździ, i piłką lepiej podrzuca — albo to się mężczyźni dlatego żenią? Panna Tala się co do urody i dobrości ani do Wanduni nie umywała.

Wandzia. I cóż z tego, kiedy ona mi się podoba. Od pierwszego dnia kiedy się zobaczyli zabrała go jak swego.

Teofila. A to brzydka panna, fe! cudzych kawalerów zabierać! Panno Wandziu nie dajmy się, trzeba coś radzić.

Wandzia. Alboż jest na to rada?

Teofila. Ojej! — żeby tak n. p. żywego nietoperza w mrowisko zakopać, a potem kosteczki wybrać...

Wandzia. Żywego? co też Teofila mówi takie okropieństwa — jakżeż to można tak biedne stworzenie dręczyć.

Teofila. Ha, cóż robić, kiedy to jest sposób na miłość niezawodny.

Wandzia (zatykając uszy). Nie, nie, ani słyszeć nie chcę.

Teofila. No to jeszcze coś powiem; to bardzo łatwo zrobić, tylko się boję, żeby się tatko nie gniewał, że ja pannę Wandzię uczę.

Wandzia. A to co złego?

Teofila. Eh, złego nie; zwyczajne uroki — ale przecież panna Wandzia chce w dobrym celu przywiązać sobie p. Seweryna?

Wandzia (z przekonaniem). W dobrym, w całkiem dobrym.

Teofila. No, to trzeba wziąć jeden kwiatek, nazywa się lubystek, i dać mu wypić z herbatą albo z czem — to zaraz tak pokocha, że za panną Wandzię świata nie będzie widział.

Wandzia. Ach, żeby to on mnie naprawdę tak pokochał!... ale skąd wziąć ten kwiatek?

Teofila. Jest u mnie, suszony — ale to wszystko jedno. Nazbierałam sobie była jednego roku cały woreczek i nieraz dawałam rozmaitym kawalerom pić.

Wandzia. I kochali się w tobie.

Teofila. Odrazu; jak piorunem.

Wandzia. A on nie pozna, jak mu to wrzucić do herbaty?

Teofila. Gdzie tam, przecież to tylko jeden mały listeczek — a zresztą ledwie pokosztuje, to już za panną Wandą będzie przepadał.

Wandzia (skacząc). O mój Boże jakie to będzie szczęście! (obejmuje Teofilę w pól i okręca się z nią). Moja Teofilciu, moja złota, pokaż mi prędko ten lubystek!

Teofila. No, to chodźmy do mojego pokoju (biegną ku wyjściu, we drzwiach spotyka je dr. Henryk).

SCENA IV.

Wandzia, Henryk, (*Teofila wy- myka się*).

Wandzia (cofając się). Ach.. nie słyszałam kiedy pan zajechał, podaje mu rękę).

Henryk (powierzchnowość nieobiecująca, grzywka zaczesana na czoło, monokl w oku; mówi głosem cieniutkim i z przesadą). Przed sekundą — bardzo mi miło było zastać konie na stacyi — ślicznie dziękuję. — Pochlebiam sobie, że zastałem wszystkich państwa zdrowych?

Wandziu. Zupełnie. (wesoło) Ale jeżeli pan ma ochotę kogoś leczyć, to moja biała kotka okropnie kaszle.

Henryk (obrażony). Mam nadzieję, że mnie pani nie uważa za doktora zwierząt: skończyłem fakultet medyczny z odszczególnieniem i dwa lata praktykowałem na klinice paryskiej.

Wandzia. Ależ wiem, wiem i przepraszam pana; nie chciałam nic złego powiedzieć — ja gdybym była doktorem leczyłabym wszystkie chore.

Henryk. Ja bardzo lubię, gdy ludzie chorują i przychodzą do mnie

z zaufaniem, ale co do zwierząt nie odbyłem odpowiednich studyów.

Wandzia. Więc mniejsza o moję kotkę. — Czy pan życzy sobie odpocząć w swoim pokoju, czy też przywitać się z resztą towarzystwa? Tala i p. Seweryn są w ogrodzie.

Henryk (skwapliwie). Przeszedłbym się z przyjemnością.

Wandzia (wskazując drzwi od ogrodu). A więc proszę — znajdzie ich pan przy lawn-tenisie. Ja nie mogę panu towarzyszyć, bo muszę przygotować herbatę.

Henryk. Pochlebiam sobie, że nie dla mnie będzie się pani tak trudziła.

Wandzia (z uśmiechem). Nie, nie — dla całego domu.

Henryk (kłaniając się). A więc do miłego widzenia za chwilę. (wychodzi)

SCENA V.

Wandzia (sama).

Wandzia. Boże, Boże, jak mi serce bije! jakbym co złego chciała zrobić — ale przecież to nie jest żadnym grzechem kochać kogo i chcieć żeby on nas kochał... Czy ja się też odważę podać mu sama tę szklankę? żeby jej choć na ziemię nie upuściła... Ej, przeżegnaj się i jakoś to będzie — trzeba tylko przygotować ten lubystek. (wybiega drzwiami w głąb — w tej chwili drzwiami od ogrodu wchodzi Seweryn i Tala).

SCENA VI.

Seweryn, — Tala.

Tala. Więc pan powiada, że taka przejażdżka przy blasku księżyca...

Seweryn. Jest w miłym towarzystwie boską rozkoszą!

Tala (od niechcenia). Możebym i ja kiedyś spróbowała...

Seweryn. Ach tak, niech pani spróbuje; t. j. spróbujmy razem, tylko prędko, nie odkładając.

Tala (żartobliwie). W tej chwili?

Seweryn. Jeśli pani rozkaże słońcu, żeby zaszło, a księżycowi żeby zaświecił.

Tala. Czy mnie aby nślucha?

Seweryn (z ukłonem). Księżyc — z pewnością, jest przecież męskiego rodzaju.

Tala (z uśmiechem). Komplemента — ale niestety naszej przejażdżce stoi na przeszkodzie i ten smutny fakt, że ja nie mam siodła.

Seweryn. A, to okropne — a więc z przejażdżki...

Tala. Nie, chyba pan... ale nie chciałabym go trudzić.

Seweryn. Mnie? ależ jestem na rozkazy: biegnę, lecę, telegrafuję do Lwowa — jestem gotów po to siodło choćby w ogień skoczyć.

Tala. Na szczęście nie potrzebuję pana posyłać w ogień, tylko do pańskiej ciotki.

Seweryn (z przestrachem). Do mojej ciotki?

Tala. Tak, w Plebanówce jest damskie siodło, w przeszłym roku nawet jeździłam na niem. Gdy pan grzecznie ciocię w rączkę pocałuje, z pewnością nie odmówi.

Seweryn (na str.) Ja wcale nie jestem taki pewny, odmówiła mi już dzisiaj marnych pięćset reńsk. — a przytem nie mam bynajmniej ochoty całować jej w rękę. (głośno). Może, gdyby pani napisała bilecik, to przez posłańca...

Tala. O, niepodobna. — Pan wie, że jego ciocia jest troszkę... prędką. (Seweryn robi wymowną

minę), otóż niedawno pogniewaliśmy się trochę, więc mnie nie wypada.

Seweryn. Ależ bo i ja także pogniewałem się, bardzo niedawno, dziś rano, więc i mnie nie wypada.

Tala. Ach siostrzeniec, to co innego — odrazu będzie pan miał sposobność przeprosić. — No, przecież się pan nie namyśla na seryo taka trzykilometrowa przejażdżka nie może pana przestraszać; a zresztą wszakże pan poprzysiągł posłuszeństwo. Jestem tak wspaniałomyślną, że pozwalam panu jeszcze wypić tu herbatę, którą za kwadrans podadzą; potem musi pan bezwarunkowo natychmiast wyruszyć i w godzinę być z powrotem. Ale za to w nagrodę, skoro tylko gwiazdy zaświecą wyjedziemy (załotnie) w daleki świat. (Kłania się i wychodzi).

SCENA VII.

Seweryn (sam).

Seweryn (zakłopotany). Oj mnie się zdaje, że ja już i tak zadaleko zajechałem — panna Tala uśmiecha się do mnie jak królowa do niewolnika, którego uszczęśliwić może jednem spojrzaniem. To tak z temi kobietami: powiedz im przypadkiem w rozmowie „k... to one zaraz za ciebie dopowiedzą cha m i skończona historia, jesteś pasowany na rycerza, chociażbyś nie miał wcale zamiaru mówić im o kochaniu tylko o k... mi n a c h. A jakie się zaraz robią natrętne, wymagające! (naśladując głos Tali). Do Plebanówki tylko trzy kilometry — taka mała przejażdżka nie może pana przestraszać! (swoim głosem). To zupełnie

tak, jakby mi powiedziała: skocz pan proszę do klatki tego tygrysa, to tylko dwa kroki stąd. — Jużem się dziś rano miał sposobność przekonąć, że moja ciocia jest właśnie w tygrysiem usposobieniu; pięćset reńskich nie dała, a awanturę mi zrobiła jak za trzy tysiące — to też, całuję rączki, dałem sobie słowo honoru, że nie pokażę się u niej ze dwa tygodnie. Jak się dobrze wytęskni, to zaraz z innego tonu zaspiewa — tęsknota, to najlepszy sposób na kobiety. I panna Tala, gdyby mnie z miesiąc nie zobaczyła, to prawdopodobnie nie kręciłaby mną tak na wszystkie strony: Figaro tu, Figaro tam — (z postanowieniem). Nie, ja po to siódło stanowczo nie pojadę.

SCENA VIII.

Seweryn — Henryk.

Henryk (wchodząc). Jesteś tutaj, bardzo mi miło, że cię widzę, szukałem cię po całym ogrodzie. (witają się).

Seweryn. Mnie? skądże ci się zebrało na taką czulość?

Henryk (uroczyście). Chciałem z tobą poważnie pomówić.

Seweryn (z udanym przestraszeniem). Co? może zauważyłeś u mnie symptomata jakiej groźnej choroby?

Henryk (staje przed Sewerynem i patrzy mu w oczy). Sewerynie ty się kochasz.

Seweryn. Bój się Boga, co ty powiadasz? nie żartuj, ściany mają uszy.

Henryk. Bo jeżeli się nie kochasz, to czemuż mnie przeszkadzasz.

Seweryn. A! a więc ty się kochasz, gadajże mi tak

Henryk. To jest... ja... chcę się ożenić.

Seweryn. Biedaku!

Henryk. Bo widzisz, ja jako doktor wzbudzam za mało zaufania. Powiadają, że ja jestem za młody, za mały, za szczupły, że nie wyglądam na doktora — ale to nieprawda, bo ja przecież dwa lata praktykowałem na klinice paryskiej, i ja nie jestem taki młody, mały i słaby jak się wydaję. Popatrz się o — tu masz muszkuty.

Seweryn (z uśmiechem). Widzę, widzę — ale co to wszystko ma do ożenienia?

Henryk. A naturalnie, że ma, bo doktor żonaty to o wiele poważniej wygląda — zaraz pacjentki nabiorą do mnie zaufania (tajemniczo). Ja ci powiem szczerze, że ja dotąd nie mam wcale pacjentek.

Seweryn. O! a pacjentów?

Henryk. I pacjentów także nie, a mnie to bardzo przykro: bo ja jestem zamiłowany w swoim fachu; ja bardzo lubię ludzi leczyć i krajać i zszywać — a teraz bym z prawdziwą przyjemnością wszystkich do Knajppa wysyłał — bo mnie Knajpp bardzo trafia do przekonania.

Seweryn. No i honorarya lekarzkie by się przydały.

Henryk. Mnie o honorarya nie chodzi, bo mnie babcia zapisała duży majątek, ale jabym chciał wzbudzać zaufanie, chciałbym wyjść na doktora modnego w high - lifie, bo mnie w Paryżu powiedzieli, że ja mam wszelkie potrzebne do tego kwalifikacye.

Seweryn. Więc w tym celu chcesz się ożenić z panną Talą?

Henryk. No, nie tylko, ja mam jeszcze i ten drugi cel, że mi się panna podobała — ona ma dla mnie coś pociągającego.

Seweryn (mierząc go wzrokiem). Bardzo wierzę; piękna panna, figurantka, wyzsza od ciebie o głowę.

Henryk. Ej, to się tylko tak wydaje — ale jednym słowem ona mi się podoba.

Seweryn (drwiąco). A ty jej?

Henryk. Pochlebiam sobie, że tak samo — na balach we Lwowie zawsze mi powierzala swój wachlarz i okrycie — och, ona ma do mnie dużo zaufania.

Seweryn (nuci). Chcesz się żenić przyjacielu, to się żeń, to się się żeń.

Henryk. A ty?

Seweryn. Ja ci będę drózbował; rola znacznie skromniejsza w czasie obrzędu ślubnego, ale ja nie jestem ambitny, poprzestanę na niej z przyjemnością. (zapalają papierosy, Seweryn podspiewuje chodząc).

Seweryn (po chwili, jakby uderzony nagłą myślą). Słuchajno doktorze, co to jest migrena?

Henryk. Jest to nagłe skurczenie mięśni za uszami i w skroniach, powstające najczęściej z zbytowego nacisku krwi na... czekaj, ja ci to pokażę (zbliża się do niego z wyciągniętymi rękami).

Seweryn (usuwając się). Ależ nie potrzeba — ja chcę tylko wiedzieć czy migreny można dostać, ot tak, ni stad, ni z owąd, w jednej chwili?

Henryk (podchodzi do niego i

troskliwie bierze go za rękę). Czujesz się słabym?

Seweryn (z niecierpliwością wyrwa mu rękę). Jeszcze nie, ale w danym razie czy taka nagła migrena może człowieka uczynić niezdolnym do wszelkiego ruchu, wysilenia.

Henryk. O z pewnością, bywają kompleksy, u których migrena przybiera odrazu postać silnej choroby — zwłaszcza w organizmach krwistych, nadsilnych, (przypatruje się uważnie Sewerynowi). Wiesz, ty byś powinien na kilka tygodni pojechać do Knajppa.

Seweryn (oburzony). Ale dajżeż mi spokój!

SCENA IX.

Ciż sami. — Jański, — doktor Lenkiewicz.

(Służący wnosi na tacy przybory do herbaty.)

Jański (wchodząc do Lenkiewicza). Powiadam ci doktorze, że jeśli mi gościńca nie poprowadzą o tędy o, po pod ogród, to jak was wszystkich kocham występuję z rady powiatowej. Ja nie myślę popierać niesprawiedliwości i prywaty — przez Werbenki droga jest najkrótsza.

Lenkiewicz. Ale większa część wydziału głosuje za Uhnowem, ze względu na tę górkę, dosyć nieprzyjemną, którą tuż za Werbenkami trzeba przebywać — znosić ją, to zaraz będzie wielki koszt.

Jański. Co za górka? o czym ty chcesz mówić doktorze? też to mrowisko nie góra. A zresztą Boże drogi, czyż to ludzie w górach nie mieszkają i nie jeżdżą? A Zakopane? co, a widzisz — umyślnie

się tam przecież zjeżdżają. Ot powiadam po prostu zmówiliście się przeciw mnie. A kiedy rada powiatowa daje połowę pieniędzy i szarwarki, to były prezes rady nie powinien być szykanowany.

Seweryn i Henryk (którzy już kilkakrotnie próbowali się przywitać, czego Jański zaaferowany nie widział.) Witamy szanownego gospodarza.

Jański (witając) A, panowie! przepraszam najmocniej, byłem taki zagadany, że nie spostrzegłem — ale bo to proszę panów, gościniec chęć mi wziąć z przed nosa, kiedy moim Werbenkom się należy podług wszelkich praw boskich i ludzkich.

Henryk (wskazując Lenkiewicza). Może pan dobrodziej zrobi mi tę przyjemność i przedstawi mię.

Jański. I owszem panowie koledzy, jednego fachu: (prezentuje) dr. Henryk Baudażykowski — dr. Lenkiewicz, nasz fizyk powiatowy, anioł stróż naszego życia. (zacierając ręce). No teraz mamy dwóch doktorów, możemy chorować — kto chce z czasu skorzystać? na o chotnika.

Henryk. Niechże Bóg broni. po chlebiem sobie że nikt nie zachoruje.

Lenkiewicz. A szanowny kolega dawno ukończył fakultet?

Henryk. Przed dwoma laty, z odszczególnieniem, ale powiadają, że ja na to nie wyglądam.

Lenkiewicz (wątpliwie) O i owszem.. dlaczego..

Henryk. Ale ja zaręczam szanownemu koledze, że ja nie jestem taki młody, mały i szczerpy jak

się wydaję. Ja mam bardzo dobrze rozwinięte mięśnie.

Lenkiewicz. O tak. mięśnie to grunt.

Jański (do służącego) A poproszę panią na herbatę, od tych irytacji człowiekowi aż gorzko w ustach, napiłbym się prędzej czegoś ciepłego.

Lenkiewicz. Może panu prezesowi zapisać coś na zółć, bo ta gorycz to tylko z zółci.

Jański. Ej śmieję się z tego kochany eskulapie; zapisz mi gościniec, a będę zdrow jak ryba.

(*Henryk i Lenkiewicz* zamieniają znaki oburzenia).

SCENA X.

Ciż sami. — Tala i Wandzia wchodzą.

Henryk (do Tali). Pochlebiam sobie, że będę mile widzianym, bo przynoszę pani wiadomości od mamy.

Tala (chłodno). Dziękuję panu; miałam dzisiaj list — Cóż tam słyhać nowego?

Henryk. Nic tak dalece, tylko po odjeździe pani zrobiło się pusto, głucho, nudno..

Tala. Czy może ludzie przestali chorować?

Henryk. Przeciwnie — zaczęli chorować bardzo ciężko, na serce.

Tala. Niech ich pan wyszle do Knajppa.

Henryk. O, nie pani, to nie jest na cierpienia sercowe, to tylko na nerwy i reumatyzm.

Tala (wzruszając ramionami przechodzi na drugą stronę do gospodarzującej Wandzi).

Tala. Pomogę ci.

Seweryn (zbliżając się). I ja jestem gotów podawać filizanki.

(do Wandzi). Niech pani nalewa, (do Tali) pani słodzi — a ja będę rozuosił i po drodze rozlewał.

Tala. Wyborny podział pracy!

Wandzia (zmięszana). Nie, nie, siadajcie państwo proszę — ja sobie sama dam radę!

Seweryn. To ja choć czajnik po trzymam — za ciężki na rączki pani — czy można ponalewać te szklanki?

Wandzia (żywo). Nie, nie! (na str.) Boże jak mi się ręce trzęsą, i jeszcze oni wciąż patrzą na mnie — co ja zrobię?..

Tala (do Seweryna). Więc chodźmy, kiedy nas tu nie potrzebują, ale zabierzmy swoją herbatę — ta szklanka może być dla pana. (podaje mu herbatę).

Wandzia (podbiegając żywo). Nie! ja dla pana już tę nalałam (podaje mu drugą szklankę).

Seweryn (stoi chwilę niezdecydowany wreszcie bierze szklankę z rąk Wandzi (do Tali). Pani daruje, ale panna Wanda jako gospodyni ma pierwszeństwo w rozporządzeniu herbatą.

Wandzia (n. str.). Dzięki Bogu wzięła! (Tala i Seweryn rozmawiając idą do bocznego stolika. Wanda dalej gospodaruje, spoglądając ciągle na szklankę Seweryna).

Lenkiewicz (biorąc z rąk Wandzi herbatę). Całuję rączki panny Wandy — herbata z czerwonym winem, to właściwie jedyny napój jakiego w dzisiejszych cholerycznych czasach powinniśmy używać.

Jański. Ej nie gadaj konsyljarzu o cholery, bo mi się zaraz mdło robi. Dzięki Bogu, już ona od nas poszła za góry za lasy.

Lenkiewicz (nalewa sobie pół szklanki wina). Zawsze nie zaszkodzi przedsiębrać środki ostrożności. (wypija wino). Strzeżonego Pan Bóg strzeże, (nal. sobie drugi raz)

Wandzia (podając ojcu herbatę a patrząc na niezaczętą szklankę Seweryna (do siebie). Nie pije jakoś.

Lenkiewicz. Owszem p. Wando piję za zdrowie pani (wypija wino).

Henryk (do Tali). A ja za zdrowie pani.

Tala. Zbytek laski.

Jański. Co do ostrożności, to się one na dyabła zdały — już mi nikt nie był więcej strzeżony jak ta moja klaczka po Zefircie — bo to, powiadam konsyljarzowi, model, bronz, Canowa by piękniej nie wyrzeźbił — ruchy miała jak baletnica, a to berbeć, była jeszcze, dwa lata ledwie skończyła — coby to z niej było wyrostło!..

Seweryn. I cóż się stało?

Jański. A no cóż! przebiła się na płocie i zadarła kopytką, jak jaka pierwsza lepsza.

Seweryn (n. str.) Oj szkoda, że to się wierzchowcowi panny Tali nie zdarzyło, nie byłoby przynajmniej kłopotu o siódło.

Jański. Myślałem, że zapłacę i do dziś dnia odboleć nie mogę. No, dość powiedzieć, konsyljarz wiesz jak ja kocham te jego kasztanki, a słowo honoru byłbym wolał, żeby oba zginęły aniżeli ta moja klaczka.

Lenkiewicz (tłumiąc oburzenie). Ależ panie prezesie!..

(*Wandzia* nalewa sobie herbatę i siada przy starszych).

Seweryn. A dlaczegoż to panna Wanda tak stroni od naszego stołu, nie, nie, nie pozwolimy na to, pro-

simy do nas. (Wstaje i przynosi szklanę Wandzi do młodszego stołu).

Wanda (uradowana, n. str.) Może już skosztował! (siada między Sewerynem a Tałą).

Tala (do Sewer. zalotnie). — Proszę pić prędzej tę herbatę.

Seweryn (na stronie) Pierwsze dzwonięcie na migrenę.

Wandzia (z przestraczem). Dlaczego prędzej?

Tala (z uśmiechem). Nie powiem — to już między nami zostanie.

Wandzia (na str. z rozpaczą). Ona się pewnie domyśla!

Henryk. A może by pani raczyła mnie dopuścić do sekretu? ja daję słowo honoru, że nikomu nie powtórzę.

Tala. Kiedy to sekret taki mały, że zaledwie na nas dwoje wystarczy — prawda panie Sewerynie?

Seweryn (roztargniony) Ależ naturalnie! (na str.) a to piła z tem siódłem.

Henryk Pochlebiam sobie, że we Lwowie raczyła pani mieć do mnie większe zaufanie?

Tala (lekko). Być może — nie przypominam sobie. (wstaje bierze z bocznego stolika swój wachlarz i zaczyna się nim bawić).

Wandzia (nieśmiało do Sewer.). Może panu nie smakuje herbata?

Seweryn. Ale i owszem, nigdy w życiu lepszej nie piłem.

Wandzia Naprawdę?

Seweryn (z uśmiechem). Jeśli pani każe mogę to stwierdzić czynnem, (wypija duszkiem całą szklanę). A co? już teraz pani zadowolona?

Wandzia (w pół z radością, w pół z przestraczem). Zadowolona!

(patrzy mu chwilę w oczy, potem zrywa się od stolika i odbiega do starszych.) Pozwoli tatuś jeszcze herbaty?

Seweryn (patrząc za nią na str.) Jakie ona ma dzisiaj śliczne oczka!

Henryk (do Tali). Pani gorąco — może się pani pozwoli powachlować? ja umiem, doskonale.

Tala (ironicznie). Nie może być!

Henryk. Słowo daje, — może ja nie wyglądam na to, ale ja w Paryżu wachlowałem dużo dam.

Tala (j. w.) O... szkoda że tu nie Paryż.

Henryk (zbliżając się). Niech mi pani pozwoli przynajmniej popatrzeć, tam jest jakiś obrazek.

Tala (na str. nsuwając wachlarz). Ach cóż za natręt nieznośny — trzeba z nim już raz skończyć Seweryn całkiem humor stracił. (głośno podnosząc w górę wachlarz). Jeżeli pan już tak koniecznie pragnie tego wachlarza, to proszę łapać, daruję go panu — na pamiątkę. sama go malowałam.

Henryk (z zapalem). Ach pani to ja go będę łapał na klęczkach, (klęka z podniesionymi rękami).

Tala. Tylko proszę się potem dobrze przypatrzeć i wziąć na uwagę co tam namalowane. (Rzuca wachlarz, który Henryk łapie i z tryumfem w górę podnosi).

Henryk. Jest! jest! (chce go otworzyć).

Seweryn (przystępując do niego, cicho). Nie patrz się teraz, to głupi żart.

Henryk. Jako? pochlebiam sobie.

Seweryn Nic sobie nie pochlebiam, tylko schowaj do kieszeni. (Hen-

ryk staje zdumiony, po chwili chowa wachlarz do kieszeni).

Tala. Co panowie za spiski knują po cichu?

Seweryn (zimno). Mówiłem Henrykowi, że mnie głowa boli.

Tala. Mam nadzieję, że to minie na świeżem powietrzu — gdy się pan wywiąże z danego słowa.

Seweryn (na str.) Masz sobie znowu! (gł.) Daruje pani... ale ja rzeczywiście czuję się słabym... jakieś uderzenie, jakiś nacisk... Henryku, okropny ból głowy.. (bierze się za głowę i osuwa na krzesło).

Henryk (przyskakując do niego). Co to, uderzenie krwi (przestraszony) — panie prezesie, panie konsyliarzu — wody zimnej, eteru!...

Lenkiewicz (zrywając się). Broń Boże! woda zimna to zabójstwo — ruchu, ruchu — niech się trochę przejdzie, to odstąpi.

Jański (biegając przerażony). Wody zimnej, ruchu! bójcie się Boga żeby to nie była cholera.

Seweryn. Ależ to tylko głowa, to migrena, ale jaka migrena!...

Tala. Tak to pewnie migrena, tylko skąd tak nagle?

Seweryn. Ja nie wiem, coś tak jak piorunem... okropny ból.

Wandzia (na str. z rozpaczą). Boże, Boże!

Henryk. To nerwowe — bardzo pospolite dzisiaj zjawisko pochodzące ze zbytku pracy umysłowej.

Seweryn (na stronie). Chyba nie u mnie.

Lenkiewicz. Ja widzę dokładnie że to jest atak sercowy — pacjent ogromnie się zmienił.

Wandzia (u. str.) Zmienił się! *Henryk.* Poblądł.

Lenkiewicz. Raczej poczerwieniał.

Seweryn (znudzony). Ależ panowie przesadzacie — mnie już lepiej.

Henryk. Tak ci się zdaje, bo się nie widzisz.

Lenkiewicz (trzymając go za jedną rękę). Puls wali jak młotem.

Henryk (biorąc za drugą). Ja go nie mogę znaleźć.

Tala (do Jańskiego podając szklankę herbaty z cytryną). Proszę wuja, mnie się zdaje, że na migrenę najlepsza herbata z cytryną.

Jański (odsuwa ją gwałtownie). Dajże spokój z cytryną (ciszej). To może być choleryczne.

Tala. Ale skądże znowu.

Lenkiewicz (do Sewer.) Co pan teraz czuje?

Seweryn (z roztargnieniem). Nic tak dalece (opamiętując się) ale mi źle, — bardzo źle.

Lenkiewicz. Jestem zdania, że powinniśmy sumiennie zbadać pacyenta — (do Jańskiego). Może pan prezes pozwoli do swojego pokoja?

Jański (zmieszany). To już... może lepiej do gościnnego...

Henryk. I owszem, tam więcej powietrza (do Seweryna, biorąc go pod rękę). Oprzyj się mocno na mojem ramieniu.

Lenkiewicz. (biorąc go z drugiej strony). I na mojem także proszę z całym zaufaniem.

Seweryn (zniecierpliwiony, próbując ich usunąć). Ależ na miłość Boską, ja pójdę sam bez żadnej pomocy.

Lenkiewicz. O przepraszam, większe wysilenie mogłoby wywołać powtórne uderzenie do głowy. (Ujmują go gwałtem w pól i wyprowadzają z pokoju).

Tula (do siebie). Także nie w porę ta migrena — co za fatalizm! byliby mi się może na spacerze oświadczył — w takim był dzisiaj dobrem usposobieniu (wychodzi). — (Cała ostatu. scen. powinna być grana w niezmiernie szybkim tempie).

SCENA X.

Wandzia (sama).

Wandzia (zrywając się z kanapki na której siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach). Boże, Boże! co ja zrobiłam! Ja wiem, to nie jest ani nerwowe, ani sercowe ani choleryczne — tylko to ja go otrulałam, — może to nie był lubystek? alboż ja wiem; ja się na tem nie znam, a Teofila już może zapomniała! — jak tylko wypił w ten moment zachorował! a to okropne! jak ja mogłam coś takiego zrobić — teraz bym wołała tysiąc, milion razy umrzeć sama. — Ale może byłby jeszcze czas ratować go — żeby tylko wiedzieli co mu jest (z postanowieniem). — Ja tam pójdę, powiem co zrobiłam, dla czego (z rozpaczą), a potem wstąpię do klasztoru! (biegnie ku drzwiom, a potem cofa się). Nie, żeby nie wiedzieć co, ja nie będę wstanie powiedzieć tego głośno — już lepiej napiszę do niego na karteczce i poszlę przez Teofilę — to będzie łatwiej, żeby tylko ołówka gdzie znaleźć. (szuka ołówka między malarskimi przyborami Tali). Żeby była przypuściła coś podobnego —

to niechby sobie już był lepiej kochał Talę!... jak ja mu teraz w oczy popatrzę? (znajduje ołówek i zaczyna pisać stojący koło okna).

SCENA XI.

Wandzia — *Seweryn*.

Seweryn (wchodząc). A tom się pięknie urządził z tą chorobą, nie ma co mówić — ale bo też i rura z tego Henryka. mrugam na niego, trącam go w bok, szepczę mu, że to tylko żart — a on jak ta pozytywka nakręcona ciągle po łacinie szwargocze z Lenkiewiczem, nerwosum i nerwosum — (sposztrzeża Wandzię). A to co, panna Wanda? (zbliży się do niej). Cóż pani w takiej niewygodnej pozie rysują.

Wandzia (obracając się do niego gwałtownie). Och, mój Boże, to on! (z wielkiem pomieszaniem). Niech się pan nie patrzy, niech pan pójdzie do drugiego pokoju i tam czeka na karteczkę — tylko... (bliska płaczu) panie Sewerynie niech się pan nie gniewa, bo ja nie nie wiedziałam, jak mamę Kocham!

Seweryn. Co pani mówi? co się pani stało? (bierze ją za rękę) skąd te łzy w oczach?

Wandzia (odwracając głowę). Niech pan idzie — ja panu zaraz przyszlę karteczkę, ale niech mi pan przebaczy, bo ja i tak już wstąpię do klasztoru — z pewnością wstąpię.

Seweryn (żywo). Pani, do klasztoru? cóż za myśl szalona! nie, ja na to nigdy nie pozwolę! panno Wando, jabym się całe życie gnie-

wał — proszę mi zaraz dać do rąk tę karteczkę i podrzemy ją na tysiąc kawałków.

Wandzia (zmieszana) Nie, naprawdę, ja jej sama panu dać nie mogę.

Seweryn. No to ja ją sobie wezmę. (wyjmuje jej z rąk karteczkę i zaczyna czytać, (*Wandzia* chowa twarz w rękach).

Seweryn (czyta). Panie Sewerynie! chciałam, żeby pan mnie pokochał, bo ja pana kocham i dlatego pana otrulałam. (mówi zdumiony). Pani mnie otruła?...

Wandzia (przez łyży). Tak, ja panu dałam lubystku do herbaty t. j. ja chciałam żeby to był lubystek, ale może to było co innego i dlatego pan zaraz zachorował.

Seweryn (z wybuchem). Jaktó, pani mi dała lubystku na to że bym panią pokochał, pani mogłaby pokochać mnie nawzajem?!

Wandzia. O ja pana już dawno... (nrywa nagle i zmieszana chowa twarz w rękach).

Seweryn Panno Wando, moja najdroższa, moja jedyna, pani to naprawdę mówi? pani sobie nie żartuje ze mnie?

Wandzia. Czyż to można tak żartować?..

Seweryn (biorąc ją za obie ręce). Nie, nie można, pani ma słusność — toby było grzechem żartować sobie ze mnie w ten sposób (kłęka) bo ja panią także kocham, całam sercem, nad życie, to pani wina, bo pani na mnie rzuciła uroki — teraz już przepadło, musi pani kochać mnie także i być moją

narzeczoną! (całuje jej ręce i wstaje).

Wandzia. Jeżeli tatko pozwoli... Ale.. ale to panu naprawdę nie zaszkoziła ta herbata, (troskliwie) pana już głowa nie boli?

Seweryn (śmiejąc się). Mnie? ależ ja cały czas byłem zdrow jak ryba — ja tylko tak udawałem.

Wandzia (załamując ręce). Udawał pan!... (chwila milczenia).

Seweryn. I cóż znaczą te załamane rączki, czy pani tak żal, że mnie pani naprawdę nie otruła?

Wandzia (żywo). Nie, nie, (z pomieszczeniem). Tylko dlaczego ja... na co...

Seweryn. Na co się pani zdradziła, że mi pani chciała takiego figla wyplatać? (czule). Ej panno Wando, panno Wando, czy to ładnie mieć dla kogoś taki największy na świecie skarb, jakim jest dla mnie serduszko pani, i tak się z nim drożyć, tak nigdy, na jednym słowkiem nie dać poznać, że ten skarb może mi się dostać, że mi się może zdobywać.

Wandzia. To pan się wcale nie domyślał?... k... panu pan powiedział, że pan wszystko poznaje po grzywce i po oczach?

Seweryn. A czemu oczka pani zawsze schowane pod rzesami, ile razy chcę w nich coś wyczytać — na karteczce to było daleko wyraźniej napisano.

Wandzia. A podrzemy ją?

Seweryn. Za nic w świecie! takich ślicznych karteczek się nie drze. (całuje kartkę i chowa ją do kieszeni).

SCENA XII.

Ciż sami — Jański, Lenkiewicz i Tala.

Jański (we drzwiach do Lenkiewicza). Powiadasz konsyliarzu, że ci pacjent uciekł — bój się Boga, żeby to nie było jakieś żaźliwe delirium!

Tala. Ależ wuju — otóż jest p. Seweryn i wcale na chorego nie wygląda.

Jański. A to co? pan już naprawdę zdrów?

Seweryn. Nie tylko zdrów, ale nawet bardzo szczęśliwy.

Jański. Szczęśliwy? cóż to ma znaczyć?

Seweryn. Szczęśliwy, bo mnie panna Wanda troszkę, t. j. bo ją ją bardzo...

Wandzia (przerywając). Nie — ja przecież także bardzo.

Jański. Cóż, licha — bardzo, troszkę, bardzo, co to ma znaczyć?

Wandzia (należycie). Nie domyśla, że bardzo, czy, że mi się pan Seweryn oświadczył, i ja jemu także...

Tala. Jaktó?! (na stron.) A to niegodziwie!

Jański. Bagatela! i skądże mu się tak raptem zebrało na oświadczenia?

Wandzia. Co to szkodzi proszę tatki że raptem, kiedy my się kochamy.

Seweryn. Tak, kochamy z całego serca z całej duszy i na całe życie.

Wandzia. A od miesiąca to już mi nawet w kabale stoi, że o mnie jakiś pan życzliwie myśli.

Tala (na stronie). W kabale — gąska — niepotrzebnie tak zbyłam Henryka.

Jański (z uśmiechem). No, kiedy taki życzliwy to cóż robić, muszę się zgodzić, niech nas tylko na przyszłość tak nie alarmuje swojemi migrenami.

Lenkiewicz (protekcjonaln.). Ale! będzie zdrów — niech tylko dużo ruchu używa.

SCENA XII.

Ciż sami. — Henryk.

Henryk (idzie wprost do Tali z wachlarzem w rękę i składając głęboki ukłon, mówi głosem cieniutkim z godnością). Bardzo mi miło wyrazić pani moją wdzięczność za tę sliczną rączkę z koszyczkiem. (pokazuje otwarty wachlarz), pochlebiam sobie, że się już więcej pani narzucać nie będę.

Tala (zmieszana). Ależ to przecie był żart tylko — panie Henryku, proszę mi oddać ten wachlarz (wyciąga rękę).

Henryk. Nie, nie, on został mi ofiarowany na wieczną pamiątkę — ja nie jestem tak niedomyślny jak się wydaje i zrozumiałem to jak należy.

Tala. Kiedy doprawdy, to nieporozumienie... bardzo mi przykro...

Henryk. Niech pani o mnie nie będzie przykro — ja sobie dam radę, bo ja mam bardzo mocne

nerwy — ja już w Paryżu dużo pracowałem nad swemi nerwami. (kłania się raz jeszcze i zwraca się do Lenkiewicza). A cóż szanowny kolego z naszym pacjentem słychać? widzę że lepiej?

Lenkiewicz. W tej chwili prawie dobrze, żeby się tylko nie wróciło.

Seweryn (śmieje się). Ale nie się nie wróci, obiecuję.

Henryk. Szczególny wypadek!

Seweryn (z uśmiechem). Nic nadzwyczajnego; po prostu panna Wanda rzuciła na mnie uroki.

Tala (ironicznie). W dziewiętnastym wieku? Uroki chyba za pomocą sugestyi albo hypnotyzmu?

Seweryn. Nie pani — tylko za pomocą serca i miłości. (całuje Wandzie w rękę).

(Zasłona spada.)

KONIEC.



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH I BIBLIOTEK
 ul. Nowy Świat Nr 72
 00-790 Warszawa
 Tel. 26-68-63, 26-68-64 w. 42

W tomikach 43, 47, 50 i 63

Biblioteka teatrów amatorskich

wyszły:

„MONOLOGI”



zeszyty I., II., III. i IV.

Treść tychże zeszytów:

Zeszyt I. Fedko w kłopotcie, zginął mu but, przez A. Abrahama-
mowicza i R. Ruszkowskiego. — Niefortunna usługa, przez
F. Barańskiego. — Raki, p. J. Normand (w tłum. Hajoty). —
Pies, przez Zygmunta Przybylskiego. — Izak Silberstein,
przez Tadeusza Skalskiego. — Westchnienie kawalera, przez
St. Rossowskiego. — Po powrocie z zagranicy.

 **Cena 40 ct.** 

Zeszyt II. Anioł Pański, przez Cz. Pieniążka. — Mucha, tłum.
z franc. — Pierwszy raz, przez P. Kościńskiego. — Roz-
trzępana, przez H. Gréville'a. — Trzy budryski, przez
Fr. Konarskiego. — Ach rozumiem! p. Bożydara.

 **Cena 40 ct.** 

Zeszyt III. Bezrobocie kowali, przez Fr. Coppée. — Przed
monologiem, przez Fr. Reinsteina. — Bankrut, p. B. Aspisa. —
Nie należy deklamować, przez B. Londyńskiego. — Po roz-
mowie, przez Cz. Jankowskiego. — Przed sądem.

 **Cena 40 ct.** 

Zeszyt IV. Koszyczek Maryni, przez Tad. Zarembe. — Pijany,
p. B. Aspisa. — Cylinder, p. J. Normanda. — Monolog bez
tytułu, p. A. J. Sęka — Straszny sen, p. K. Laskowskiego.

 **Cena 35 ct.** 

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnia H. ALTENBERGA we Lwowie.

<http://rcin.org.pl>

F

2327